

Rozdział IV – Kapela

-Coooo?! – moje wzburzenie płoszy wróble z gałęzi za oknem. Została tylko wena nagle osowiała w przeczuciu, że nieprędko wróci do gniazdka, które uwiła na ramieniu.

- Zakładamy kapelę – powtarza spokojnie Swądek, pakuje ręce do kieszeni i rozwała się na krześle.

- Czyś ty brachu oszalał? Walnął cię ktoś za mocno w łeb i masz jakieś omamy? Kapelę? A kto będzie w niej grał?

- My.

- Ale nas jest tylko dwóch. To nie kapela tylko duet! – Podrywam się z łóżka i warczę na kumpla: - Co ty wymyśliłeś, po cholere ci kapela? Chcesz grać na akademii „ku czci”?

- Nie tylko ja chcę, ty też.

- No, chyba cię pogięło! Nie licz na to – oblekam się godnością. – Ja się nie skalam.

- Skalasz, skalasz.

- Nigdy!

- Lubię Albercik, jak się tak nabzdyczasz – krzywo się uśmiecha. – Zabawnie wyglądasz. Tak fajnie stroszysz piórka. Ale teraz zupełnie niepotrzebnie się unosisz, bo nie powiedziałem ci jeszcze najważniejszej rzeczy.

- No?

- Dyrektorka oznajmiła, że zaangażowanie w jej projekt przełoży się na ocenę z zachowania!

No tak. Tego potrzebowaliśmy, jak kleptomani kradzieży. Przecież wilk-konduktor kręcił się przy nas już tak blisko, że smród z jego pyska stawał się nieznośny. Czuć było padlinę. Naszą.

- To się i tak nie uda – westchnąłem przesiąknięty pesymizmem. – Nie mamy szans!

Swądek zapala następnego papierosa.

- Wszystko się uda – wypuszcza kółka z sinoniebieskiego dymu. – Opracowałem plan w najdrobniejszych szczegółach. Ty tu jęczałeś, zdychałeś z miłości, smarowałeś głupoty, a twój kumpel ciężko pracował głową.

- A co, rozwaliłeś jakiś mur? – pozwalam sobie na kpinę. – Masz guza? Boli?

Zbywa milczeniem moją uszczypliwość i mówi:

- Stary, akademia jest za miesiąc. Różnymi kanałami dowiedziałem się, że dyrektorka już pochwaliła się występem swojego zespołu w kuratorium. Ponoć zaprosiła też kilku dyrusów z innych liceów. Widzisz więc, że postawiła się pod ścianą.

- Jak to?

- Bo przecież nikt się nie zgłosi.

- Dlaczego nie? Są chłopaki w szkole, którzy grają na gitarach i czymś tam jeszcze.

Przyjaciel niedbale strzepuje popiół z papierosa.

- W m o j e j szkole? – cynizm wypełza mu na twarz. – W tym liceum nikt nie zagra, na żadnym instrumencie bez mojej zgody, łapiesz?

- Wszyscy cię posłuchają? – wątpię. – Myślisz, że nikt się nie odważy?

Znacząco spogląda mi w oczy.

- Nikt.

- Ale Swądek, to i tak nic nie zmienia. Nadal jest nas tylko dwóch.

- Dobierzemy sobie trzeciego i po sprawie.

- To będzie trio.

- Trio? A cóż to za durne słowo? – dziwi się.

- To znaczy: trzech.

- Trzech? Świetnie! – Widzę błyski podniecenia w jego oczach. – To się nadaje na nazwę zespołu. Nazwiemy się: „Ich troje”.
- Dlaczego – ich, a nie - nas? Poza tym nie możemy, musiałyby być w zespole dziewczyna. Nas ma być trzech, nie troje. I w ogóle, jak to brzmi? Dla mnie idiotycznie! – zniechęcony myślę o tym, w jaki sposób zakłada się obrożę wilkowi na kark i czy to jest w ogóle możliwe.
- „Nas trzech” – Swądek aż się oblizuje. – Albercik, z taką nazwą zrobimy prawdziwą karierę!
- Jaką karierę? Z czym? – czuję się bezradny. – Z twoimi tekstami o tym, że ślinisz się na widok mającej nogami Anki i zaraz walisz w mordę jej faceta?
- Jak ty nic nie rozumiesz. Niby taki artysta, a nic nie kapuje. Przecież to są słowa o miłości, to porywa!
- To nie jest o miłości tylko o brutalności.
- O brutalności? – Swądek przygląda mi się ironicznie. – Miłość nie jest brutalna? Czyż nie widzę mojego przyjaciela powalonego na ziemię, wzniosłym uczuciem?
- Milczę chwilę i z przekonaniem odpowiadam:
- Taki jest słodki ból kochania.
- Tak? – od niechcenia zaczyna dłużyć w nosie. – Jak czytałem te twoje bzdury, to tam nic nie było o cukrze. Żadnych tortów tylko pistolety, trucizny, sznury do wieszania i wysokie skały. Za taką słodycz to ja ci serdecznie dziękuję. Już wolę wypić tanie wino z moją dziewczyną. Może nie powala smakiem, ale przynajmniej rano boli tylko głowa. Takim normalnym bólem, swojskim.
- Nie podejmuję dyskusji. Meandry miłości są mojemu kumplowi zupełnie obce. Może to i lepiej?
- Jest jeszcze jeden problem – mówię ponuro. – I to poważny.
- Jaki?
- Przecież wszyscy dowiedzą się, że gram na skrzypcach. Zniszczą mnie!
- E tam! – Swądek macha lekceważąco ręką. – Nie dość, że już umiesz nieźle pracować po ryju, więc się obronisz, to ja dodatkowo ogłoszę, że granie na tym czymś jest na czasie. Że to taka moda. Rozpuści się plotkę i zobaczysz, niejednego będzie się chciał nauczyć. Podpuszczę dziewczyny żeby się zachwycaly i mówiły, jakie to piękne, romantyczne, poważne. Że mają dosyć głupich szczeniaków i od tej pory będą chodzić tylko z prawdziwymi artystami.
- Kto w to uwierzy? – powątpiewam.
- Mój przyjaciel kiwa głową z politowaniem.
- To ty nie wiesz, że jak tłuszczy rzuci się nietypowy, kolorowy ochłap to go rozerwie na strzępy i przy okazji siebie też?
- Moje skrzypce mają być kolorowym ochłapem? – oburzam się.
- Nie ta twoja pituśnia tylko zbudowana wokół niej atmosfera.
- Jestem zdumiony. Jestem naprawdę zaskoczony jego analizą realiów.
- Skąd ty to wiesz? – pytam.
- A co ty myślisz Albercik, że ja głupi jestem? – patrzy mi poważnie w oczy. – Stary, wyłącznie biciem nie utrzymałbym autorytetu w szkole. Nie da rady. Czasem trzeba tak podziałać, żeby ogół czymś się zajął. Trzeba odwrócić uwagę od siebie, podpuścić, a oni niech się bawią lub pourywają łby. W końcu i tak wyjdę na tym najlepiej.
- Dlaczego?
- Bo się będą bawić w moje gry albo tłuc wykańczając sami. Tak czy siak nie zagrozi mi konkurencja. Wiedziałem, że Swądek jest niebezpieczny, bo był silny. Ale nie wiedziałem, że siła to nie wszystko i łączy się z tym wyrachowanie.
- Brachu, uważasz, że to jest moralne? – ostrożnie pytam.
- A przeżyć trzeba, nie? – odpowiada.
- Myślę chwilę i chcę zwrócić uwagę na brak przyzwoitości w jego rozumowaniu, gdy nagle pyta:
- A jak nazwiesz swój sławetny wybryk na lekcji muzyki? Podobała ci się pani profesor czy nie?

- To był ratunek – bronię się. – Tylko ratunek!

Spogląda mi głęboko w oczy.

- Ja też się ratuję Albercik, jak umiem.

Milczę głęboko poruszony otwartością przyjaciela.

Chwilę jeszcze czujemy skrępowanie i już nie poruszamy tego tematu.

- Kto ma być tym trzecim? – wracam do szalonego pomysłu Swądka.

- A właśnie – ożywia się. – Jest taki bubek w równoległej klasie, wołają go Kompot. Niezły jest, usiłował mi podskoczyć i wyobraź sobie wytrzymał ze mną całe pięć minut!

Rzeczywiście, tyle czasu utrzymać się w walce ze Swądkiem to niezwykle wyczyn.

- I co z nim?

- Jego stary ma akordeon.

- No i co? – zaciekawiam się.

- Jak to, co?

- No, Kompot gra na nim?

- W domu jest instrument to chyba gra, logiczne nie? – patrzy na mnie zdziwiony.

- Stary, jeżeli twój ojciec ma siekiere to nie znaczy, że ty umiesz rąbać drewno.

- Mój ojciec nie ma siekiery! – zdumiewa się jeszcze bardziej.

Ciężko wzdycham.

- Słyszałeś jak gra?

- No, nie – zafrasował się. – Ale coś bąkał, że umie.

- Bąkał?

- O rany, Albert! – zdenerwował się. – Ty będziesz kierownikiem artystycznym naszego zespołu.

Przesłuchasz go i tyle. Przestań marudzić i zacznij działać.

Może ma rację. Skoro nie potrafimy wytresować wilka żeby zapiąć go w zaprzęg, to może trzeba mu rzucić jakiś smakowity kąsek dla odwrócenia uwagi.

- Dobra! – podejmuję decyzję. – Przyprowadź go jutro do mnie, zobaczymy, kto zacz.

- Co zobaczymy? – Swądek wbija we mnie podejrzliwe spojrzenie.

- Nieważne. Do jutra!

Kompot okazał się wysportowanym byczkiem o wyrazie twarzy niezmaconej głębokimi myślami i nieruchomym, bezbarwnym spojrzeniu. Wszedł do mojego pokoju, mruknął przywitanie, położył akordeon na podłodze i usiadł na przygotowanym taborecie.

Swądek wesoło mrugnął do mnie okiem:

- Zabawny, nie?

- On nie ma być zabawny tylko muzykalny – odpowiedziałem.

- Jedno drugiemu nie przeszkadza. - Mój przyjaciel był w doskonałym humorze. – Muzykalny jest, ma przecież instrument.

Jego niepokojącą logikę zostawiłem bez komentarza i zwróciłem się do nowego kumpla:

- Od dawna grasz na cyi?

- Na czym? – wtrącił się zdziwiony Swądek.

- Niektórzy nazywają akordeon cyją, taka gwara – wyjaśniłem. – No, więc?

Kompot z niebywałym skupieniem zogniskował wzrok na moich ustach jakby chciał ujrzyć w nich zmaterializowaną formę zadanego pytania i wybąkał:

- Jakiś rok.

- To zagraj coś.

Podniósł instrument, przyjął pozycję i przyoblekając twarz w coś, co miało manifestować natchnienie, rozpoczął grę.

Kaskada dźwięków odbiła się od ścian, sufitu, przemknęła po podłodze i zadrgała w okiennych szybach rytmem wiejskiej poleczki typu: „hop dziś, hop dziś, jadom goście, jadom, do mojego sadu, ale do mnie nie psyjadom, bo już tom nie mieskom”.

Jeżeli moja wena krążyła jeszcze w okolicy i usłyszała muzyczne wyczyny Kompota, to skonała w straszliwych konwulsjach. Pozostało mi tylko poszukać łopaty, wykopać dołek, złożyć w nim jej zwłoki i ozdobić nagrobek napisem: „Przechodniu, to nie prawda, że zabiła mnie rozpacz. Zabił mnie gorzki śmiech”.

Tuż obok Swądek pochował swój znakomity humor.

Na tym maleńkim cmentarzyku zostały jeszcze dwa wolne miejsca, które wyszarpał pazurami w ziemi nasz wierny wilk.

Mimo wszystko nie poddałem się. Mój przyjaciel liczył na mnie i nie mogłem go zawieść. Wspólnie walczyliśmy z folklorystycznymi zapędami Kompota, które przejął od ojca grającego w ludowej kapeli.

Kiedy po wielu próbach osiągnęliśmy względne porozumienie i udało nam się dość równo, czysto zagrać kilka piosenek, Swądek przeszedł do drugiego etapu planu ratunkowego.

Zgodnie z jego przewidywaniami, nikt nie odważył się zgłosić swojej kandydatury, nie było śmiazków gotowych do założenia konkurencyjnego zespołu.

Uroczysta akademія miała odbyć się już za tydzień. Wobec tego mój przyjaciel uruchomił samorząd szkolny złożony z dziewcząt wielbiących jego siłę i urodę, który w samych superlatywach zaanonsował nasz skład dyrekcji.

Zdziwienie pani dyrektor było ogromne. Widząc nas w swoim gabinecie, dumnie dzierżących instrumenty, uniosła brwi tak wysoko, że zrównały się ze szczytami Tatr. Po wykonaniu „Yesterday” w aranżacji na skrzypce, gitarę, akordeon oraz lekko chrypiący wokół Swądka, jej zdumienie wzrosło, a brwi sięgnęły wysokości Mount Everestu. Nie z zachwyty, lecz faktu, że w ogóle umiemy coś zagrać.

Przy braku innych opcji w postaci lepszych zespołów, z zamglonym desperacją umysłem, wyraziła zgodę na reprezentowanie przez nas szkoły w zakresie muzycznym. Jedyne warunki – na akademii mamy zagrać coś z repertuaru Marka Grechuty.

Nie miałem złudzeń, co do poziomu naszego artyzmu. Choć mój przyjaciel uparł się przy nazwie „Nas Trzech” i nie dawał się w żaden sposób przekonać do jej zmiany, to chcąc być uczciwymi powinniśmy nazwać się: „Wybaczcie Nam”.

Ale Swądek, a razem z nim Kompot, który bezkrytycznie słuchał go we wszystkim, upatrywał w wymyślonej przez siebie nazwie wielkiego sukcesu. Pobudzony coraz bieglejszą grą na gitarze widział oczami wyobraźni, jak podbijamy rynek rodzimego show biznesu. Gdy udawało mu się zgrabnie zmienić akord lub wprowadzić prosty element improwizacyjny, był już duszą w Europie, a czasami brak rzetelnej oceny rzeczywistości rzucał go za ocean.

Zgodnie z nakazem pani dyrektor, wybrałem piosenkę Grechuty ze słowami Jana Zycha pod tytułem: „Gdziekolwiek”. Niestety, piękno tego utworu robiło wrażenie tylko na mnie. Moi kumple nie chcieli docenić wartości tej kompozycji i skomentowali ją jednym słowem: głupoty. Zresztą, żadna z piosenek tego artysty nie wzbudzała w nich najmniejszych emocji. Musieli jednak uznać mój wybór, bo odgórne dyrektywy w tym zakresie były jednoznaczne.

Muzycznie byliśmy w stanie opanować ten utwór, ale tekst w żaden sposób nie chciał zamieszkać w pamięci Swądka. Jego natura gwałtownie odrzucała tego rodzaju poezję. Krzywił się, prychnął pogardliwie, zrzędził, a w trudniejszych momentach złośliwie fałszował.

Gdy przypominałem, czyj to był pomysł, obrażał się, odkładał gitarę i dłużył w nosie, okazując w ten sposób lekceważenie. Kompot patrzył na niego z uwielbieniem i też próbował czyścić palcem swój organ węchowy, co jeszcze bardziej wzbudzało moją irytację. Unosiłem się honorem, chowałem skrzypce do

futurału i ogłaszałem uroczyście, że się wycofuję. Oni przeprasali, ja łaskawie dawałem się ugłaskać, wracaliśmy do instrumentów i wszystko zaczynało się od początku. Swądek po chwili kaszłał, bezczelnie wpadał w fałsze, rzucał gitarą i razem z Kompotem ostentacyjnie palcami drążyli swoje nozdrza. Ja się unosiłem... i tak w kółko.

Na bezproduktywnych przepychankach nieubłaganie mijał czas i nagle okazało się, że do akademii „ku czci” został już tylko jeden dzień.

Ostatniego wieczoru przed występem, kładąc się do łóżka, miałem wrażenie, że w mroku czai się znajome, czarne zwierzę, szczerzące kły w szyderczym uśmiechu.

Nieświadomie zignorowałem ten ostrzegawczy znak wysłany przez litościwy los.

Tylko Hypnos wiedział, co się wydarzy nazajutrz, i czule objął mnie ramionami.

Zapadłem w sen.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

stygma, dodano 28.09.2011 08:56

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.